



JOHN HERSEY

HIROSZIMA

Najważniejszy reportaż XX wieku

JOHN HERSEY

HIROSZIMA

Tłumaczenie Jerzy Łoziński

znak *litera
nova*

Kraków 2025



BEZGŁOŚNY BŁYSK

Kiedy dokładnie piętnaście minut po ósmej czasu japońskiego szóstego sierpnia 1945 roku bomba atomowa rozbłysła nad Hiroszimą, panna Toshiko Sasaki, która pracowała w dziale kadr Wschodnioazjatyckiej Fabryki Blach, siedziała za biurkiem i właśnie odwróciła głowę, żeby coś powiedzieć do koleżanki zajmującej miejsce obok. W tym samym momencie doktor Masakazu Fujii siadał ze skrzyżowanymi nogami na werandzie swego prywatnego szpitala, górującego nad jedną z siedmiu rzek, których delty dzielą Hiroszimę, i zamierzał oddać się lekturze wydawanej w Osace gazety „Asahi”. Pani Hatsuyo Nakamura, wdowa po krawcu, stała przy kuchennym oknie, patrząc, jak sąsiad rozbiera dom blokujący dojazd straży pożarnej. Ojciec Wilhelm Kleinsorge, niemiecki jezuita, siedział w samym podkoszulku na trzecim, ostatnim piętrze budynku misyjnego, czytając zakonne czasopismo „Stimmen der Zeit”. Doktor Terufumi Sasaki, młody chirurg w wielkim, nowoczesnym miejskim szpitalu Czerwonego Krzyża, szedł jednym z korytarzy, trzymając w ręku próbkę krwi, która miała zostać

poddana odczynowi Wassermanna, a wielebny Kiyoshi Tanimoto, pastor kościoła metodystów w Hiroszynie, zatrzymał się przed drzwiami domu jednego z bogaczy w Koi, zachodnim przedmieściu Hiroszyny, i szykował się do wyładowania z taczek rzeczy zabranych z miasta w obawie przed zmasowanym nalotem B-29, którego wszyscy się spodziewali. Bomba atomowa zabiła sto tysięcy ludzi, tych sześćset znalazło się między ocalałymi. Ciągłe się zastanawiają, dlaczego żyją, gdy tylu innych zginęło. Każdy z nich może wyliczyć moc przypadkowych szczegółów czy decyzji – krok zrobiony w odpowiedniej chwili, wejście do środka zamiast pozostania na zewnątrz, wybór tego, a nie innego tramwaju – które ich uratowały. Teraz wiedzą, że pozostali na świecie dłużej od znacznie większej liczby ludzi, niż kiedykolwiek mogliby się spodziewać, widzieli też o wiele więcej śmierci, niż kiedykolwiek mogliby przypuścić, że zobaczą. W tamtej chwili jednak żadne z nich nic o tym nie wiedziało.

Wielebny Tanimoto wstał tego dnia o piątej rano. Był sam, gdyż żona z trzyletnim dzieckiem spędzała nocę u przyjaciółki w Ushidzie, północnym przedmieściu Hiroszyny. Ze wszystkich ważnych miast japońskich tylko Kioto i Hiroszima nie zostały masowo odwiedzone przez B-san, Pana B, jak z mieszaniną szacunku i bolesnej poufałości nazywali Japończycy B-29. Tanimoto, jak wszystkich jego sąsiadów i przyjaciół, przepełniała

trwoga. Słyszał okrutnie szczegółowe opowieści o masowych nalotach na Kure, Iwakuni, Tokuyamę i inne okoliczne miasta. Był pewien, że wkrótce przyjdzie też pora na Hiroszimę. Źle spał poprzedniej nocy, gdyż ogłoszono kilka alarmów lotniczych. Już od tygodni nękały one Hiroszimę niemal co noc, gdyż B-29 używały jeziora Biwa, na północny wschód od Hiroszimy, jako miejsca spotkania. Niezależnie więc od tego, które tym razem miejsce amerykańskie superfortece planowały zaatakować, gromadziły się nad wybrzeżem nieopodal Hiroszimy. Częstość tych ostrzeżeń, a także fakt, że Pan B pomijał Hiroszimę, niepokoiły jej mieszkańców. Krążyła plotka, że Amerykanie szykują dla tego miasta coś zupełnie wyjątkowego.

Tanimoto był niskim mężczyzną, gadatliwym i bardzo emocjonalnym. Miał długie czarne włosy z przedziałkiem na środku głowy. Wyraźnie zaznaczona nad brwiami kość czołowa, niewielki wąsik, zarys ust i podbródka nadawały mu osobliwy młodzieńczo-dojrzały wygląd – chłopięcy, a zarazem pełen mądrości, łagodny, a jednak popędliwy. Ruchy miał nerwowe i szybkie, a jednocześnie była w nich miara sugerująca, że jest człowiekiem ostrożnym i rozważnym. Zdecydowawszy, że żona będzie nocować w Ushidzie, Tanimoto zajął się przenoszeniem wszystkich rzeczy z kościoła, który mieścił się w gęsto zaludnionej dzielnicy mieszkalnej Nagaragawa, do domu producenta jedwabiu mieszkającego w Koi, o jakieś 3 kilometry od centrum

miasta. Producent ów, Matsui-san, swoją niezamieszkaną posiadłość udostępnił dużej grupie przyjaciół i znajomych, aby tu, w bezpiecznej odległości od przypuszczalnego centrum nalotu, mogli zgromadzić wszystko, co chcieliby uchronić. Tanimoto bez trudu sam przewiózł na taczkach krzesła, pulpity, biblie, wyposażenie ołtarza oraz księgi kościelne. Jednak w przypadku klawiatury organowej i pianina potrzebował pomocy. Przyjaciel o nazwisku Matsuo pomógł mu przetransportować do Koi pianino, w zamian za to Tanimoto obiecał, że pomoże Matsuo przewieźć dobytek córki. Dlatego wstał dzisiaj tak wcześnie.

Zrobił sobie śniadanie. Czuł się okropnie zmęczony. Wysiłek związany z transportem pianina, bezsenna noc, tygodnie strachu i nieregularnego odżywiania się, troska o losy parafii – wszystko to sprawiło, że nie bardzo nadawał się do ciężkiej pracy przez kolejny dzień. Ale była jeszcze jedna rzecz. Tanimoto studiował teologię w Emory College w Atlancie w stanie Georgia. Aż do rozpoczęcia wojny korespondował z licznymi amerykańskimi przyjaciółmi, a żyjąc teraz pośród ludzi opanowanych maniakałnym wręcz strachem przed szpiegami, czuł się coraz bardziej niespokojny. Policja przesłuchiwała go parokrotnie, kilka dni temu dowiedział się, że wpływowy znajomy, pan Tanaka, pracujący w tokijskiej wielkiej firmie żeglugowej Kisen Kaisha, wróg chrześcijaństwa, znany w Hiroszynie ze swej ostentacyjnej filantropii i bezwzględności w sprawach

osobistych, rozповідаł dookoła, że wielebnemu Tanimoto nie można ufać. W odpowiedzi na tę insynuację i na inne podejrzenia, aby publicznie pokazać, jak dobrym jest Japończykiem, Tanimoto zgodził się przewodniczyć lokalnej *tonarigumi*, wspólnocie sąsiedzkiej. Do wszystkich więc innych zajęć i trosk dołączyły jeszcze sprawy związane z organizacją ochrony przed nalotami jakichś dwudziestu rodzin.

O szóstej rano Tanimoto zjawił się u Matsuo. Okazało się, że czeka ich dźwiganie *tansu*, dużego japońskiego kredensu, pełnego ubrań i sprzętu domowego. Wyruszyli ze swym ciężarem. Dzień był zupełnie jasny i już teraz zbyt ciepły, aby jego dalsza część mogła być przyjemna. Zaledwie po kilku minutach rozległa się syrena alarmu lotniczego – trwające minutę wycie ostrzegało o zbliżaniu się samolotów, ale pośród mieszkańców Hiroszimy nie budziło specjalnego zaniepokojenia, ponieważ sygnał rozlegał się codziennie o tej porze, gdy na niebie pojawiały się maszyny amerykańskiego zwiadu meteorologicznego. Podtrzymując bagaż, pchali taczki ulicami miasta. Hiroszima ma kształt wachlarza. Rozłożona jest na sześciu wyspach, rozdzielonych siedmioma wpływającymi do morza odgałęzieniami rzeki Oty. W głównej dzielnicy handlowej i mieszkalnej, stanowiącej centrum i mającej powierzchnię jakichś 10 metrów kwadratowych, skupiło się trzy czwarte ludności. Jednak w efekcie programów ewakuacyjnych liczba jej mieszkańców zmniejszyła się z 380 tysięcy (najwyższy

poziom wojenny) do około 245 tysięcy. Fabryki i przedmieścia rozłożyły się na skrajach centrum. Na południu znajdowały się doki, lotnisko i gęste od wysepek Morze Wewnętrzne. Pozostałe trzy strony delty były ograniczone przez pasma górskie. Tanimoto i Matsuo minęli centrum handlowe, już teraz pełne ludzi, i pokonawszy dwie rzeki, zaczęli się wspinać stromymi uliczkami Koi na obrzeża miasta, gdzie zaczynały się wzgórza. Kiedy opuścili teren gęsto zabudowany, rozległ się sygnał oznaczający koniec alarmu. (Japońscy operatorzy radarów wykryli wprawdzie trzy samoloty, ale uznali, że to lot zwiadowczy). Pchanie taczki do domu producenta jedwabiu było bardzo męczące, gdy więc obaj mężczyźni wreszcie znaleźli się na podjeździe i dotarli do schodów wejściowych, stanęli, żeby trochę odpocząć. Byli ustawieni w taki sposób, że miasto zasłaniał im róg domu. Jak większość budowli w tej części Japonii, dom miał drewniany szkielet i drewniane ściany, które podtrzymywały ciężki dach z płytek ceramicznych. Frontowy hol, ciasno upakowany stosami pościeli i ubrań, wydawał się chłodną, grubo wymoszczoną jaskinią. Naprzeciw domu, po prawej stronie drzwi wejściowych znajdował się duży, nieregularny ogródek skalny. Nie było słychać odgłosów samolotów. Ranek był czysty, miejsce chłodne i przyjemne.

Wtedy po niebie rozlał się straszliwy błysk. Tanimoto pamięta dokładnie, że rozchodził się ze wschodu na zachód, od miasta w kierunku wzgórz. Wydawało

się, że rozbłysło słońce. I on, i Matsuo w przerażeniu – obaj mieli czas na reakcję, znajdowali się bowiem o 3,5 kilometra od centrum – rzucili się do tyłu. Matsuo po frontowych schodach wpadł do domu i zanurkował w stosy pościeli. Tanimoto zrobił cztery kroki, może pięć, i zwaliwszy się między dwa wielkie głązy w ogrodzie, przywarł mocno do jednego z nich. Ponieważ twarz miał wtuloną w kamień, nie widział, co stało się dalej, poczuł natomiast ogromny ucisk, po czym posypały się na niego kawałki drewna i dachówek. Nie słyszał żadnego huku. (Niemal nikt w Hiroszimie nie przypomina sobie, by bomba wydała jakiś dźwięk. Natomiast rybak – człowiek, u którego mieszkaly teściowa i szwagierka Tanimoto – który siedział w sampanie nieopodal Tsuzu, widział błysk i słyszał straszną eksplozję. Znajdował się około 30 kilometrów od Hiroszimy, ale łoskot był większy niż wtedy, gdy B-29 bombardowały odległe raptem o 8 kilometrów Iwakuni).

Kiedy Tanimoto ośmielił się unieść głowę, zobaczył, że dom producenta jedwabiu się zapadł. Był pewien, że bomba musiała uderzyć wprost w niego. Podniosły się takie chmury kurzu, iż można było pomyśleć, że nastał już zmierzch. W panice, nie myśląc w tej chwili o losie pozostałego w ruinach Matsuo, wybiegł na ulicę. Zauważył, że otaczający posiadłość kamienny mur zawalił się, przy czym nie na zewnątrz, lecz w kierunku domu. Pierwszym, co zobaczył na ulicy,

był oddział żołnierzy, którzy na przeciwnym zboczach kopali jeden z tysięcy okopów, gdyż Japończycy najwidoczniej zamierzali odpierać inwazję wzgórze po wzgórze, oddając życie za życie. Żołnierze, cali pokrwawieni, milczący i oślepli, wyskakiwali z rowu, w którym powinni być bezpieczni.

Pod tym, co wydawało się miejscowym kłębem pyłu, dzień stawał się coraz mroczniejszy. Koło dwunastej w noc poprzedzającą zrzuconie bomby spiker miejscowego radia oznajmił, że mniej więcej dwieście B-29 zbliża się do południowego skraju Honsiu, i radził mieszkańcom Hiroszimy, by udali się do wyznaczonych schronów. Pani Hatsuyo Nakamura, wdowa po krawcu, która mieszkała w dzielnicy Noboricho i zwykła robić to, co jej polecano, zbudziła trójkę swych dzieci – dziesięcioletniego syna Toshio oraz dwie córki: ośmioletnią Yaeko i pięcioletnią Myeko – ubrała je i udała się na teren wojskowy znany jako Wschodni Plac Defilad, leżący na północno-wschodnim skraju miasta. Tam rozwinęła kilka mat i ułożyła na nich dzieci. Spały do mniej więcej drugiej, gdy rozległ się huk samolotów przelatujących nad Hiroszimą.

Kiedy samoloty odleciały, pani Nakamura wróciła z dziećmi do domu, znaleźli się w nim po wpół do trzeciej. Natychmiast włączyła radio i ku swojej rozpaczycy usłyszała nowe ostrzeżenie. Spojrzała na dzieci, a widząc, jak są zmęczone, a także pamiętając, ile to już razy bez celu wędrowali na Wschodni Plac Defilad, uznała,

że tym razem po prostu nie będzie w stanie wykonać radiowych zaleceń. Ulokowała dzieci na rozłożonych na podłodze matach. Sama położyła się o trzeciej i natychmiast zasnęła tak głęboko, że nie słyszała następnej fali przelatujących nad miastem samolotów.

Około siódmej zbudziła ją syrena. Wstała, szybko się ubrała i pośpieszyła do domu pana Nakamoto, kierującego wspólnotą sąsiedzką, aby od niego dowiedzieć się, co ma robić. Poradził, aby została w domu do chwili, gdy pojawi się poważne ostrzeżenie – ciąg krótkich i urywanych syren. Wróciła do domu, rozpałała pod kuchnią, nastawiła ryż i siadła, aby przeczytać poranną gazetę hiroszimską „Chugoku”. O ósmej z ulgą usłyszała odwołanie alarmu. Dzieci się rozbudziły, poszła więc dać im po garści orzeszków i powiedziała, by na razie nie wstawały, gdyż są zmęczone nocnymi wędrówkami. Miała nadzieję, że znowu zasną, ale sąsiad w domu od południowej strony zaczął strasznie hałasować, wałać młotkiem, szarpiąc łomem, rozrywając coś i łamiąc. Władze miejskie, przekonane, jak zresztą wszyscy, że miasto niebawem zostanie zaatakowane, prośbą i groźbą zaczęły zmuszać do wytyczania szerokich przejazdów dla straży pożarnej, dzięki którym, a także dzięki wszechobecnym rzekom, będzie możliwe opanowanie pożarów spowodowanych przez nalo-ty. Sąsiad z ociąganiem zgodził się poświęcić dom dla bezpieczeństwa miasta. Dzień wcześniej prefektura poleciła, by wszystkie zdolne do pracy uczennice szkół

średnich przez kilka dni pomagały w przygotowaniu dróg pożarowych, więc zaraz po odwołaniu alarmu dziewczęta wzięły się do pracy.

Pani Nakamura wróciła do kuchni, rzuciła okiem na ryż, a potem zaczęła się przyglądać sąsiadowi. Z początku była na niego zła, że robi tyle rumoru, ale później w jej oczach pojawiły się łzy współczucia. Przede wszystkim chodziło jej o sąsiada, który – deska po desce – niszczył swój dom, i to w czasie, kiedy dookoła było tyle niepotrzebnych zniszczeń. Ale z pewnością czuła też bardziej ogólny żal, obejmujący wszystkich, łącznie z nią samą. Także i dla niej nie był to łatwy czas. Jej mąż Isawa poszedł do wojska zaraz po tym, jak urodziła się Myeko. Nie miała od niego żadnych wiadomości, aż piątego marca 1942 roku otrzymała sześciowyrzowy telegram: „Isawa poległ honorową śmiercią w Singapurze”. Potem dowiedziała się, że zginął piętnastego lutego, w dniu, w którym padł Singapur, i że miał stopień kaprała. Jako krawcowi nie wiodło mu się zbyt dobrze i jedynym jego dobytkiem była maszyna do szycia sankoku. Kiedy po śmierci Isawy żona przestała dostawać część jego żołdu, wydobyla maszynę i marnie, bo marnie, ale jakoś utrzymywała dzieci, szując.

Kiedy więc wpatrywała się w sąsiada, nagle wszystko stało się białe białością, jakiej jeszcze nigdy dotąd nie widziała. Nie dostrzegła, co stało się z sąsiadem, instynkt macierzyński pchnął ją do pokoju dzieci.

Zdążyła zrobić tylko jeden krok (dom znajdował się około 1200 metrów od centrum wybuchu), kiedy poczuła, że coś ją podrywa i że sama wlatuje do pokoju nad podwyższeniem na maty do spania, a wraz z nią fruną fragmenty domu.

Upadła wśród kawałków drewna, fragmenty dachówek posypały się na nią i przykryły kobietę tak szczelnie, że wszystko pociemniało. Warstwa jednak nie była gruba, więc pani Nakamura łatwo się uwolniła, a wtedy usłyszała krzyk dziecka. – Mamo, pomóż mi – wołała najmłodsza, pięcioletnia Myeko, zakopana aż po piersi i niezdolna się ruszyć. Nakamura zaczęła rozpaczliwie przekopywać drogę do córki, ale nie słyszała żadnego z dwojga pozostałych dzieci.

W dniach przed eksplozją doktor Masakazu Fujii, dobrze prosperujący, zadowolony z życia i niespecjalnie ostatnio zajęty, pozwalał sobie na luksus spania do dziewiątej, dziewiątej trzydzieści, ale tego ranka, gdy zrzucono bombę, musiał na szczęście wstać wcześniej, by odprowadzić na pociąg gościa. Zerwał się o szóstej. Pół godziny później maszerowali już z przyjacielem na niezbyt odległą stację, trzeba było tylko pokonać dwie rzeki. Wrócił do domu już o siódmej, kiedy syreny ogłosiły ostrzeżenie. Zjadł śniadanie, a ponieważ ranek był gorący, rozebrał się do bielizny i wyszedł na werandę, aby przeczytać gazetę. Weranda była wykonana bardzo starannie, podobnie zresztą jak i cały budynek. Doktor Fujii był właścicielem instytucji swoiście

japońskiej – prywatnego szpitala, w którym był jedynym lekarzem. Dom przycupnął nad wodami rzeki Kyo, tuż obok mostu o tej samej nazwie, miał trzydzieści pokoi dla trzydziestu pacjentów i ich krewnych, zgodnie bowiem z japońskim zwyczajem, gdy ktoś idzie do szpitala, towarzyszy mu co najmniej jeden członek rodziny, aby choremu gotować, myć go, masować i czytać mu, a także okazywać współczucie, bez czego pacjent czułby się okropnie. Doktor Fujii nie miał dla pacjentów łóżek, tylko słomiane maty, poza tym jednak szpital był nowoczesnie wyposażony – miał aparat rentgenowski, urządzenie do diatermii i laboratorium z pięknymi kafelkami. Dwie trzecie budynku opierało się na ziemi, jedna trzecia na palach wbitych w dno wzbierającej podczas przypływów rzeki. Ta zawieszona nad wodą część, w której mieszkał doktor Fujii, wyglądała dość osobliwie, ale w lecie było tu chłodno, a z werandy odwróconej od centrum miasta rozciągał się odświeżający widok na rzekę z płynącymi z prądem i pod prąd łódkami. Doktor Fujii odczuwał niekiedy niepokój, kiedy Ota i jej rozgałęzienia przybierały podczas przypływu, lecz pale umocowano na tyle dobrze, że dom nigdy nie był zagrożony.

Od jakiegoś miesiąca doktor Fujii nie miał wiele pracy, kiedy bowiem malała liczba nietkniętych jeszcze miast japońskich i Hiroszima wydawała się coraz bardziej oczywistym celem ataku, zaczął odsyłać pacjentów. Tłumaczył, że w wypadku nalotu z bombami

zapalającymi nie będzie w stanie ich ewakuować. Pozostało mu jeszcze tylko dwoje pacjentów: Yano, ranna w bark, i dwudziestopięciolatek kurujący się z oparzeń odniesionych podczas zbombardowania huty pod Hiroszimą, w której pracował. Doktor Fujii do opieki nad pacjentami zatrudniał sześć pielęgniarek. Żona i dzieci były bezpieczne. Żona z jednym synem mieszkała pod Osaką, drugi syn i obie córki byli na wsi na wyspie Kiusiu. Doktor mieszkał z krewniaczką oraz dwojgiem służących. Nie martwił się tym, że nie ma wiele do roboty, gdyż odłożył trochę pieniędzy. Liczył sobie pięćdziesiąt lat, cieszył się dobrym zdrowiem, był towarzyski i spokojny, bardzo lubił spędzać wieczory z przyjaciółmi przy whisky, zawsze rad rozmowie. Przed wojną pijał ten trunek marek sprowadzanych ze Szkocji i Ameryki, teraz zupełnie go zadowalał najlepszy japoński gatunek – suntory.

Odziany w podkoszulek doktor Fujii usiadł ze skrzyżowanymi nogami na czyściutkich matach werandy, nałożył okulary i zaczął czytać wydawaną w Osace „Asahi”. Wypatrywał wiadomości z Osaki, gdyż tam przebywała żona. Zobaczył błysk. Dla niego – ponieważ był odwrócony plecami do centrum i studiował gazetę – był on promiennie żółty. Zdumiony, zrobił ruch, aby się poderwać, w tym jednak momencie – znajdował się o 1400 metrów od epicentrum – szpital przechylił się i ze straszliwym trzaskiem zwałił do rzeki. Lekarz, który właśnie wstawał, poleciał do przodu

i zaczął koziołkować. Czuł uderzenia i szarpnięcia, nie mógł się niczego chwycić, gdyż wszystko mknęło razem z nim – wszędzie była woda.

Nie miał czasu pomyśleć, że umiera, zanim sobie uświadomił, że żyje. Dwie belki ułożone w kształt litery v chwyciły go za pierś, niczym kasek między dwiema wielkimi pałeczkami, i trzymały tak mocno, że nie mógł się poruszyć. Z głową uniesioną nad wodą, z zanurzonymi w niej tułowiem i nogami, widział dookoła siebie szczątki szpitala w jakimś szaleńczym galimatiasie drewna i środków uśmierzających ból. Straszliwie bolało go lewe ramię. Nie miał okularów.

Ojciec Wilhelm Kleinsorge, zakonnik Towarzystwa Jezusowego, rano w dniu eksplozji był w dość kiepskiej kondycji. Zupełnie mu nie odpowiadała japońska dieta wojenna, poza tym czuł się źle w coraz bardziej ksenofobicznej Japonii. Nawet Niemcy od chwili kapitulacji byli traktowani niechętnie. Trzydziestoośmioletni ojciec Kleinsorge miał wygląd nazbyt szybko wyrosniętego chłopca: pociągłą twarz, wystające jabłko Adama, zapadniętą pierś. Długie, zwisające ręce, wielkie stopy. Szurał nimi, zawsze trochę zgarbiony. Przez cały czas czuł się zmęczony. Na dodatek od dwóch dni razem z innym zakonnikiem, ojcem Cieslikiem, cierpiał z powodu nieustannej i bolesnej biegunki, o którą obwiniali fasolę i ciemny przydziałowy chleb, którym musieli się żywić. Dolegliwości tej nie ulegli na szczęście dwaj inni bracia żyjący w misji

ulożonej w dzielnicy Nobori-cho: ojciec przełożony LaSalle i ojciec Schiffer.

Ojciec Kleinsorge obudził się koło szóstej tego dnia, kiedy zrzucono bombę, i pół godziny później – był trochę rozlazły z powodu choroby – zaczął odprawiać mszę w kaplicy misyjnej, małym drewnianym budyneczku na modłę japońską, w którym nie było ławek, gdyż wierni klęczeli na matach. Ołtarz lśnił od mosiądzu, srebra, jedwabiu i ciężkich haftów. W ów poniedziałkowy ranek we mszy uczestniczyli tylko mieszkający w misji student teologii Takemoto, sekretarz diecezji Fukai, pani Murata – gorliwa chrześcijanka i gospodyni misji, oraz współbracia zakonnicy ojca Kleinsorgego. Kiedy po mszy składał dzięki miłosierdziu Bożemu, rozległa się syrena. Przerwał modlitwy i misjonarze przeszli do większego budynku. Tutaj w swoim pokoju na parterze ojciec Kleinsorge przebrał się w mundur wojskowy, który kupił, gdy w Kobe wykładał w szkole średniej Rokko. Nakładał go podczas alarmów lotniczych.

Gdy syrena milkła, zawsze wychodził na zewnątrz i spoglądał w niebo, kiedy więc teraz postąpił tak samo, z radością zobaczył tylko jeden samolot zwiadu meteorologicznego, który każdego dnia o tej porze przelatywał nad Hiroszimą. Zadowolony, że nic więcej się już nie wydarzy, wrócił do środka i z resztą braci zjadł śniadanie składające się z kawy zbożowej i racjonowanego chleba, który szczególnie w obecnej

sytuacji wydawał mu się obrzydliwy. Ojcowie siedzieli chwilę i rozmawiali, aż wreszcie o ósmej alarm został odwołany. Rozeszli się po budynku. Ojciec Schiffer poszedł do swego pokoju trochę popisać. Ojciec Cieslik usiadł u siebie na krześle, położył na brzuchu poduszkę, by ulżyć bólom, i próbował czytać. Ojciec przełożony LaSalle stanął zamyślony w oknie swego pokoju. Ojciec Kleinsorge poszedł do pokoju na trzecim piętrze, zdjął mundur. Zostawszy tylko w bieliźnie, ułożył się na pryczy na prawym boku i zaczął czytać „*Stimmen der Zeit*”. Po straszhwym błysku – który, jak potem wspominał ojciec Kleinsorge, przypominał mu coś, co czytał w dzieciństwie o wielkim meteorze zderzającym się z Ziemią – zdążył pomyśleć (był odległy o 1300 metrów od centrum eksplozji) tylko jedno: bomba spadła wprost na nas. Potem na kilka sekund albo minut stracił przytomność.

Ojciec Kleinsorge nie ma pojęcia, jak wydostał się z budynku. Następną rzecz, której jest świadom, to jak w bieliźnie idzie przez misyjny warzywnik, odrobinę krwawiąc z lewego boku. Widzi też, że zawaliły się wszystkie budynki dookoła z wyjątkiem misji jezuitów, którą dużo wcześniej zaopatrzył w kilkakrotne wzmocnienie ksiądz Gropper, straszliwie obawiający się trzęsienia ziemi, a także słyszy, jak niedaleko Murata-san, gospodyni, powtarza okrzyk: – *Shu Jesu-su, awaremi tamai!* – Jezusie, Panie nasz, zmiłuj się nad nami!

Tytuł oryginału

Hiroshima

Copyright © John Hersey

All rights reserved including the right of reproduction in whole or in part in any form.

This edition published by arrangement with Alfred A. Knopf, an imprint of The Knopf Doubleday Group, a division of Penguin Random House LLC

Copyright © for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo, Poznań 2013

Projekt okładki i wyklejek

Magda Kuc

Ilustracja na okładce i wyklejce

© Charles Martin, The New Yorker, ©Condé Nast

Fotografia autora

© fot. AP/East News

Redaktorka nabywająca

Agata Pieniążek

Redaktorka prowadząca

Alicja Kędzior

Redakcja

Aleksandra Kubisiak

Korekta

Maciej Waligóra

Justyna Ostafin

Łamanie

Leszek Kwiatkowski

Koordynacja produkcji i przygotowanie do druku

Jakub Kornacki, Karolina Korbut

Opieka promocyjna

Monika Frankiewicz

ISBN 978-83-240-9274-1

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak

ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I (Znak), Kraków 2025

Druk: OZGRAF

Jest słoneczny dzień, 6 sierpnia 1945 roku.

Piętnaście minut po godzinie ósmej rano.

Panna Sasaki z działu kadr odwraca głowę do koleżanki.

Pani Nakamura, wdowa po krawcu, stoi przy kuchennym oknie.

Doktor Sasaki ze szpitala Czerwonego Krzyża idzie korytarzem,
trzymając w ręku próbkę krwi.

I wtedy oślepiający błysk uderza w ich miasto.

Huk wybuchu nadchodzi po zaskakująco wielu sekundach.

Tak zaczyna się era atomowa.

Gdy II wojna światowa się skończyła, nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, co tak naprawdę wydarzyło się w Hiroszynie i Nagasaki. Młody reporter John Hersey postanowił odnaleźć tych, którzy to przeżyli. Jego reportaż ukazał się 31 sierpnia 1946 roku w wyjątkowym wydaniu „New Yorkera” – z numeru usunięto wszystkie inne artykuły, felietony i rubryki, a okładka nie zapowiadała opowieści o apokalipsie.

Hersey w niezwykle oszczędny i poruszający sposób pokazuje godziną po godzinie rzeczywistość ludzi, którzy znaleźli się w sercu atomowego piekła.

Tekst został uznany za najważniejszy reportaż XX wieku.

Jaka to jest wspiana książka. Olśniewająca od pierwszego zdania.

HANNA KRALL

Nie ma w tej książce nic na temat tego, czy decyzja prezydenta Trumana była lepszą czy gorszą decyzją niż decyzja o konwencjonalnej inwazji na Japonię. Nie ma w niej żadnej publicystyki, którą uwielbia wielu reporterów, którzy jakby się obawiali, że zostaną odebrani tylko jako rekonstruktorzy wydarzeń. Nie dane i opinie, ale przeżycia i sceny są siłą Hiroszimy.

MARIUSZ SZCZYGIEŁ

fragment książki *Fakty muszą zatańczyć*

Prawdziwy obraz zatrważających skutków użycia bomby atomowej.

ALBERT EINSTEIN

